ROZMAITOŚCI.

Dnia 7 marca, Ner 10. roku 1846.

KABALIŚCINA.

1. Umrzesz!

Milczenie panowało w Lugdunie, straże na wałach i mostach z podwójną czuwały bacznością; od chwili do chwili odzywało się groźne *Qui vive!* Wówczas był Lugdun warownem miastem, otoczonem wałami i bastyjonami, których gruzy dotąd jeszcze stoją, a których spaniałe niegdyś mury runęły pod nawałem rozjuszonych *démolisseuses* i *citoyennes au sucre*, jakto nazywano kobiety, co w pierwszych czasach francuzkiej rewolucyi plądrowały magazyny kupieckie i burzyły warownie

Tuż przed uderzeniem w dzwony na znak zamknięcia twierdzy, wyjechał jakiś powóz przez bramę Saint-Clair i skręcił ku zamkowi de la Pape, leżącemu o dwie mile francuzkie od Lugdunu.

Byłoto dnia 14go lutego. Wiatr dął gwałtownie, deszcz lał bez ustanku i dzwonił smutno w okna powozowe, a połyskująca raz po razu błyskawica, oświetlała ponury widok, jaki w téj porze równiny Delfinatu przedstawiały.

Wewnątrz powozu nie było też wesoło. Na przedzie siedział jakiś podeszły mężczyzna około lat pięćdziesięciu, i spoglądał niespokojnie na młodą dziewicę, która w głębi powozu na pół martwa leżała, a przy każdém potrąceniu powozu, sprawioném nierównością gościńca, przybiérało jego spojrzenie wyraz tkliwéj obawy o dziewicę.

Jakoż zasługiwała ta biedna istota, aby się o nią lękano! Co za bladość na jéj licu, co za bolesne omdlenie w całéj postaci! Żal serce zbiérał patrząc na to białe oblicze, ćmawo światłem powozowych latarni rozjaśnione; ale jeżli jéj ciało cierpiało, stokroć więcéj zdawała się boleć jéj dusza. Melancholijny wyraz jéj twarzy okazywał zbyt jawnie, iż jedynym powodem jéj cierpień było ciężkie zmartwienie.

Jakieżto srogie pociski losu mogły ją biedną tak znękać! Jedyne dziécię gubernatora miasta Lugdunu, ostatni potomek dostojnéj rodziny hrabiów de Saconex, była Leonida młodą, piękną, od wszystkich ubóstwianą. Kochała się w swoim kuzynie Ludwiku de Boffart i była od niego wzajem kochaną; żadna przeszkoda nie zagradzała ich szczęściu; i czemuż nie była szczęśliwą?

Niegdyś wesoła i swawolna, straciła za jednym razem całą ochotę do życia i zabaw tego świata. Od śmierci swojego wuja, margrabi de Saconex, który umarł był na suchoty, unikała jego siostrzenica wszelkich towarzystw, i wciąż zadumana, posępna, pragnęła tylko samotności. Starania o toaletę stały się jéj uprzykrzonym ciężarem, a w dni powszechnéj radości, zwykła była płakać na ustroniu. Jedyną pociechę uczuwała w modlitwie, a każda przechadzka wiodła ją zazwyczaj do kościoła. Lubo zawsze jeszcze kuzyna swego kochała, przecież nie byłato już owa dawna miłość namiętna, która niegdyś całe szczęście jéj życia stanowiła, lecz tylko jakieś spokojne uczucie przychylności siostry dla brata

Z początku przypisywano tę zmianę niezwykłym jéj trudom i wzruszeniom, do jakich ją długa choroba jéj wuja zniewoliła. Cała rodzina Saconnex przeniosła się z swego zwykłego mieszkania w zamku de la Pape, do wystawnego hotelu na placu Bellecour w Lugdunie, spodziewając się, iż rozrywki życia miejskiego wnet Leonidzie dawną wesołość wróci. Wszakże zamiast oczekiwanego polepszenia, zapadała coraz bardziéj na zdrowiu ciała i duszy. Słyszano często z jéj ust wybladłych jakieś żałośne skargi, nieustannie mówiła o swojéj śmierci, chociaż ani z tego przeczucia śmierci ani z owych skarg tajemniczych, nie mogła sobie dostatecznéj zdać sprawy. W tak smutnym stanie przyszło jéj ojcu na myśl, iż przyspieszenie oddawa umówionego połączenia jéj z Ludwikiem de Boffart najskuteczniéj temu wzmagającemu się złemu się oprze, a zatém wyznaczono dzień 15go lutego na czas zaślubin. Uroczystość ta miała się odbyć w zamku rodzinnym de la Pape, i przy zjeździe wielu krewnych i obcych gości, trwać przez dni kilka.

To więc było powodem wyjazdu Leonidy i ojca jéj z Lugdunu, lecz wyjazdu tak smutnego, iż nikt-

by się był nie spodział, że to była jazda na ślub jutrzejszy.

Około ósméj godziny przejeżdżał powóz w pobliżu kaplicy Saint-Clair. Za pierwszém uderzeniem dzwonu zadrzała panna de Saconnex i ścisnęła trwożliwie ojcą za rękę. Dla rozpędzenia jéj ponurych dumań, przerwał hrabia milczenie i rzekł:

„Niebo się wypogadza, możemy jeszcze miéć piękny dzień nazajutrz.”

»Piękny!” ozwała się Leonida z głębokiém westchnieniem. — »O, piękny, jak chory po niebezpieczném przesileniu.»

„Zawsze posępne porównania! Zkądże ten nieustanny smutek? Dla czegoż, córko moja, ukrywasz przedemną przyczynę smutku twego? Powiédz, czegoż ci do szczęścia nie staje?”

»Nie stanie mi czasu, mój ojcze; — czasu do nacieszenia się tém szczęściem” — odrzekła Leonida z wyrazem głębokiéj boleści.

„Ach, zasmucasz mię Leonido swojémi przeczuciami. Czemuż pozwoliliśmy ci bawić tak długo przy śmiertelném łożu twojego wuja! Gdybyśmy cię byli prędzéj od niego oderwali, nie byłabyś w tę nieszczęsną zapadła melancholiję!»

»Dni życia jego były policzone, i równie też są dnie moje!”

»Otożto są urojenia, moja Leonido, niedorzeczne obawy, do których twoje zdrowie żadnego powodu nie daje. Jesteś wprawdzie cierpiąca, lecz to cierpienie nie ma nic niebezpiecznego, a cokolwiek rozweselenia znowu dawną twoję żywość ci wróci. Ileżto chorych było w istocie blizkimi śmierci, a przecież długiem cieszyli się późniéj zdrowiem.”

»Bo żadnemu z nich niebo przed czasem nie wyrzekło: umrzesz!”

”Jakto, miałażbyś snem jakim się trwożyć! Mniemałem cię wyższą nad podobne przesądy.”

„O, snem to nie jest mój ojcze.... jest to.... Ale pocóż ci mam to powiadać? Nikt już temu nieszczęściu nie zaradzi.”

»O moja droga córko! Wymów, wymów, co masz na sercu! Zaklinam cię na wszystko! Jeżli tego z miłości uczynić nie chcesz, uczyń to przynajmniéj przez litość nademną!... Powiédz... czego się lękasz? Milczenie twoje w dziwne wprawia mię podejrzenie. Miałżeby jaki występek...»

„Ani słowa więcéj, mój ojcze! Srogą wyrządzasz mi krzywdę! Gdybym była tak słabą dopuścić się występku, miałabym przynajmniéj tyle odwagi, iżbym go wyznała przed tobą. Ach, jam tylko Boga obraziła, a on mię karze za to! Lecz niech się dzieje wola jego!»

»Uśmierz się i nie rozpaczaj Leonido! Połączę się razem z tobą w modłach do Boga, a on wysłucha ojca, który za swojém dziecięciem miłosierdzia wzywa.”

* * *

2. Mszy zaduszných!

Po niedługiéj podróży wjechał powóz przez most zwodzony do zamku. Na dziedzińcu wyszedł jakiś młody człowiek naprzeciw nowoprzybyłym i przystąpił do drzwi powozu, aby im przy wysiadaniu rękę podał. Żywy rumieniec obleciał twarz Leonidy; z widoczną wstydliwością przyjęła podaną sobie pomoc, a wysiadłszy, otarła pod zasłoną ciemności kilka łez niedostrzeżonych. Można się było łatwo domyśléć, iż to narzeczony Leonidy ich powitał.

Wszystko troje udali się razem na pokoje, gdzie już cała zebrana rodzina na nich czekała. Bądźto przez litość, bądź z obawy, aby widocznego smutku Leonidy nieprzyzwoitą radością nie obrazić, wszczęło się poważne milczenie na widok cierpiącéj dziewicy. Powitanie było posępne, mówiono zcicha; wymuszona rozmowa przybrała melancholijną barwę, czas upływał leniwie. Dla jakiéjkolwiek rozrywki, wszczęto mniéj więcéj straszliwe banialuki i opowiadki o wypadkach, w których główną rolę widma i duchy grały, a którym się wszyscy obecni z żywą przysłuchywali ciekawością.

Gdy na hrabię Saconnex kolej mówienia przyszła, chciał on téj sposobności użyć, aby wiarę Leonidy w sny i przywidzenia zachwiać, i opowiedział następujący wypadek:

„Przed jakich sześćdziesięcią laty zdarzyło się, iż baron de Solignac, zażyły przyjaciel mojego ojca, w nierozważnych zabiegach finansowych, cały majątek stracił, i umierając przedwcześnie z umartwienia, obie swoje córki w najopłakańszym stanie zostawił. Biédne siéroty wychowane w dostatkach i przepychu, musiały dla utrzymania życia igłą i szydełkiem zarabiać, co jak wiadomo, zbyt zmudną a wcale nie zyskowną jest pracą. Starsza uległa wkrótce pod tém niezwykłém wysileniem trudów i cierpień. W niajakim czasie po jéj śmierci, usłyszała młodsza jéj siostra wieczorem o jedénastéj godzinie w nocy odgłos ciężkiego westchnienia, wydobywający się z alkierza, w którym nieboszczka umarła. Ze strachu wypuściła dziewczyna z rąk robotę, i ledwie znak krzyża świętego uczynić była w stanie. Następnego wieczora dało się toż samo słyszeć westchnienie. Panna Solignac, nie wiedząc co ma czynić, spytała dnia następnego jednę ze swoich starszych i doświadczonych sąsiadek o radę.”

»Na każdy wypadek”— odpowiedziała sąsiadka— »będzie to zapewne dusza nieboszczki, przebywająca w czyscu. Skoro jeszcze raz da się słyszéć, należy ją zapytać, czego żąda.”

Jakoż tego samego jeszcze wieczora, usłuchała panna Solignac rady swéj staréj przyjaciołki, i spytała, gdy owo westchnienie znowu słyszéć się dało:

»W imieniu wszechmogącego Boga, siostro moja, czegoż żądasz?«

»Mszy zadusznych! Mszy zadusznych«— jęknęło głucho w wodpowiedź.

Biedna dziewczyna odejmowała sobie odtąd najniezbędniejszych potrzeb, aby oszczędzonémi przeto pieniędzmi duszę swojéj siostry wybawić. Idąc za radą swojéj sąsiadki, kładła ona co wieczór swój gorzko zapracowany pieniądz do małéj poświęconéj puszki, stojącéj przy łożu nieboszczki siostry. Nazajutrz rano były pieniądze zwykle z puszki wyjęte. Kiedy tylko panna Solignac datku zadusznego nie złożyła, zawsze wtedy odzywało się westchnienie i dawały się słyszeć około jedenastéj godziny słowa: »Mszy zadusznych! Mszy zadusznych!« Aż oto jednego razu kładąc się daleko późniéj niż zwykle na spoczynek, usłyszała panna Solignac, iż ktoś drzwi zcicha otwiera, i pobiegłszy w tamtą stronę, pochwyciła z przestrachu ducha za włosy. Byłato jéj własna sąsiadka i doradczyni, która co wieczora przez długą galeryję i drzwi ukryte do alkierza wchodziła i zaduszne pieniędze zabierała.« —

Każdy z obecnych dawał swoje zdanie o przytoczonym wypadku; jedni ganili łatwowierność panny Solignac, inni potępiali oszustwo jéj sąsiadki. Tymczasem zrobiło się już późno, a wreszcie rozeszli się wszyscy na spoczynek.

Narzeczony Leonidy udał się pełen żywéj obawy do swojego pokoju, i przywoławszy jednego z przyjaciół, który tuż obok niego mieszkał, zaczął z nim o powodzie swojéj niespokojności rozmawiać.

»Jakto, czyś nie uważał Arturze?«

„Coż takiego?«

»Fizyjonomii panny Saconnex.«

»Wygląda wprawdzie blada, lecz nie ma się czemu dziwić. Młode dziewczęta, zabierające się do stanu małżeńskiego, zwykły zawsze udawać jakieś wewnętrzne wzruszenie. Bladość i zapłakane oczy są-to niezbędne warunki panny młodéj przed ślubem.«

„Nie w porę sobie żartujesz Arturze. Może nie widziałeś tego spojrzenia, z jakiém na dobra-noc mię żegnała. Byłoż ono wyrazem boleści czy nadziei? Nie wiem tego, lecz jéj słabość odznacza się dziwnémi znamionami. Lękam się prawie, czy ona bez chęci za mnie nie idzie, i tylko pozorną życzliwością swoją wewnętrzną niechęć ukrywa?«

»Alboż ona nie jest bogatą, piękną i sławnego imienia! Ożeniwszy się z nią możesz być pewnym patentu, który ci tytuł hrabiego Saconnex nada. O resztę mało dbaj!«

»O, źle mię znasz, Arturze! Jestżem ja tak nikczemnym, abym o podobnych widokach zamyślał. O, broń mię Boże, abym dla osiągnienia własnych korzyści nieszczęścia Leonidy miał pragnąć!«

Na tém skończyła się rozmowa; obaj zastanawiali się w milczeniu nad dotkniętym przedmiotem, gdy nagle jakiś jęk, a późniéj pojedyncze wyrazy w pokoju nad niémi słyszeć się dały.

»To ona! zawołał narzeczony Leonidy, i pobiegł wraz z przyjacielem na wschody pode drzwi jéj pokoju, zkąd ich półgłośny płacz nieszczęśliwéj doleciał.

»Jutro mam już umierać!« wołała we łzach — »O mój Boże! Jakżeż winną być muszę, jeżli tak nieszczęśliwą jestem.«

»Uspokój się, moja córko« — odpowiedział jéj ojciec. »Jutro wzejdzie najpiękniejszy dzień twego życia.«

—»Słyszysz Ludwiku?« zapytał przyjaciel narzeczonego »Czyż możesz teraz jeszcze o jéj miłości wątpić?«

»Nie« — odrzekł Ludwik, zabierając się z przyjacielem do odejścia. Jednakże zachodzi tu jakaś tajemnica, którą koniecznie wyjaśnić muszę.«

»Czas to nieochybnie okaże. Do zobaczenia.«

Za chwilę spało już wszystko w zamku, prócz hrabi i jego córki; wszakże dla częściowego przynajmniéj wytłumaczenia téj zagadki, musimy nieco wcześniejszy wypadek opowiedzieć.

* * *

3. Kabaliścina.

Pan de Saconnex udał się był do pokoju Leonidy i wymógł u niéj prośbami, iż mu wreszcie tajemny powód swego smutku odkryła.

„Przed półtora rokiem« — rzekła — pozwoliłeś mi ojcze, odprawić wraz z moim wujem pielgrzymkę do Notre-Dame de Fourvières. Byłoto w dzień Wniebowzięcia Najświętszéj Panny; pogoda sprzyjała naszemu przedsięwzięciu, tylko że słońce zbyt skwarnie dogrzewało. Wieczorem, gdyśmy do lasku de la belle Allemande przybyli, zaskoczyła nas sroga burza.

»Schrońmy się do téj chaty« — ozwał się mój wuj, wskazując na blizką lichą lepiankę przy drodze. Weszliśmy do środka, a wewnątrz przyjęła nas jakaś uboga staruszka, i prosiła usiąść na ławie. Wszystko w téj chacie świadczyło o najopłakańszéj nędzy. W każdéj ścianie świeciły się długie szpary, z belków zwisały kosmyki pajęczyny. Nie chcieliśmy długo bawić, lecz deszcz lał bez ustanku, a pioruny biły przeraźliwie. Poglądając wokoło siebie, postrzegł mój wuj karty do grania.

„Jak to« — spytał staruszki — »umiesz może z kart wróżyć?«

„Tak jest, panie« — odpowiedziała stara — »w tych kartach cała moja umiejętność i cały mój majątek. Z nichto przepowiadam chłopom pogodę lub słotę, leczę oczarowane krowy, i odkrywam podziemne źródła.«

»Więc musisz i mnie przyszłość wyłożyć.«

„Nie, panie, dziś mi nie wolno, dziś Wniebowzięcie Najświętszej Panny; Notre-Dame by mię skarała.”

„Żartujesz!” zawołał mój wuj — „Otoż mi pobożna kabaliścina!”

»Nie, dziś mi nie wolno” — powtórzyła stara, kiwając głową w znak zaprzeczenia.

»To niech już na nas jéj kara spadnie” — rzekłam do wróżki, szydząc z jéj zabobonnéj obawy.

Mój wuj chciał jéj karty odebrać, stara tém urażona, miotała na nas gniewne spojrzenia.

»Nie mając względu na moję starość, chcesz mię panie margrabio gwałtem do zaspokojenia swojéj ciekawości przymusić — to się nie godzi! Czyżto z takiémi myślami od Notre-Dame się powraca!”

„Bez gniewu, stara!”— odrzekł mój wuj— »wyłoż mi natychmiast kabałę, lub dowiész się kto jestem.»

„Widząc wilka na drodze, łatwo poznać, iż on od trzody powraca. Notre-Dame to ci wynagrodzi. Od dziś za rok umrzesz. — A ty, panno” — dodała wróżka zwracając się do mnie — „tylko o pół roku wuja swego przeżyjesz. Twój narzeczony, który cię czeka, jestto śmierć. Wasze dnie są policzone. Najdaléj o północy spełni się moja wróżba.»

Te słowa wymówione z wyrazem gniewu, przejęły mię śmiertelną zgrozą. Na szczęście pochwycił mię wuj omdlewającą w objęcie i cisnął wróżce w twarz karty. Gdyśmy coprędzéj z chaty wyszli, słychać było w kościele w Fourvières dzwonienie „*de Profundis*,” co nanowo okropne na mnie uczyniło wrażenie. Resztę wiész sam, mój ojcze. Wuj umarł właśnie po upłynieniu roku, w dzień Wniebowzięcia Najświętszéj Panny, a jutro — ja umrę.”

Tu uderzyła dwónasta; Leonida padła w objęcie ojca i wydała ów krzyk, który Ludwik i Artur usłyszeli.

* * *

4. Bal.

Jasny dzień zaświtał na równinach Delfinatu. Leonida, weselnie ustrojona, wzięła w domowéj kaplicy ślub z Ludwikiem. W czasie następującéj po tém uczty, zdawała się nawet być znacznie weselszą. To podwoiło powszechną radość, a na wieczór zapowiedziano bal maskowy.

O wyznaczonéj godzinie zgromadzili się goście, w rozmaitych kostiumach, cała sala była przepełniona, mnogie zwierciadła odpromieniały porozstawiane powszędy światła — był to widok czarowny.

Na dany znak w orkiestrze, nastąpiło powszechne poruszenie. Pan młody miał stanąć z panną młodą do pierwszego menueta, ale chociaż go wszędzie najskwapliwiéj szukano — nigdzie go nie można było znaleźć.

»Arturze” ozwał się niecierpliwie ojciec Leonidy do przyjaciela Ludwika — „rozpocznij bal z moją córką; nie mamy czasu do stracenia.”

Na te słowa, wezwany podał rękę królowéj balu. Leonida wyglądała świéżo i pięknie Jéj biała atłasowa suknia i kwiaty na upudrowanéj głowie, dodawały jéj osobliwego — tylko damom owych czasów — właściwego powabu Kroki jéj były jak u Sylfidy ulotne i wymierzone; poważny menuet, uidealizowany wdziękiem jéj powiewnego tańcu zamienił się w jeden z owych namiętnie tęsknych tańców hiszpańskich, które zarazem nadmiar największéj rozkoszy i najrzewniejszego smutku wyrażają.

Podczas gdy piękna panna młoda tańcem uwagę wszystkich gości na siebie zwracała — usłyszano bicie zegaru. Przy jedenastém uderzeniu przystąpił hrabia do córki i rzekł dość nierozważnie:

„Wróżba twojéj kabaliściny jest oszukaństwem; wyznaczona godzina już minęła.”

„Jeszcze nie!” — odezwała się na to ponurym głosem jakaś za czarodziejkę przebrana postać niewieścia, któréj, dla jéj starości i prostego stroju, śród tak wielu świetnych kostiumów dotąd nie dostrzeżono — „dopiéro na zamku uderzyła dwunasta, lecz nie na wieży w Fourvières.”

Leonida obróciła się szybko i spojrzała na osobę która te złowrogie słowa wyrzekła. Na widok czarodziejki, oblokły się jéj lica trupią bladością; zachwiała się wpół omdlała, i wlepiła oczy martwo przed siebie. Nagle spojrzała ku drzwiom prowadzącym na długą, oświetloną galeryję, i wskazując tam ręką, szepnęła zamarłym głosem: »Otoż i ona!”

„Któż taki?” spytał Artur.

»Śmierć!”

To rzekłszy padła o ziemię i została z sali balowéj wyniesioną. Z początku myślano, iż już nie żyje, ale wkrótce zaczęła znowu oddechać. Maski, tancerze, muzykanci, słudzy — wszyscy w jednéj chwili wybiegli za omdlałą, wołali o pomoc, wypytywali się o powód tego wypadku, i cisnęli się na kurytarzu przede drzwiami pokoju, do którego Leonidę wniesiono. Największy zgiełk panował w całym pałacu Naraz usłyszano wystrzał pistoletowy w ogrodzie, a to zwiększyło powszechną trwogę do najwyższego stopnia. Wszyscy rzucili się do ogrodu i spotkali we drzwiach Artura, powracającego ztamtąd z parą pistoletów w ręku. Wraz z nim szedł pan młody, przebrany za mnicha zakonu „Feuillants» a jego jak śnieg biała, i gdzieniegdzie plamami krwi zbroczona szata przeraziła strachem wszystkich patrzących.

Wkrótce po tak okropném przerwaniu balu, Artur, zniepokojony długą nieobecnością Ludwika, zaczął go wszędzie śledzić, i znalazł go wreszcie w chwili, gdy się do parku wykradał. Nie chcąc go spuścić z oka, udał się za nim potajemnie i po-

strzegł, jak on ukryty za krzakiem, pistolet do skroni sobie przyłożył.

»Stój, nieszczęsny!» krzyknął przyjaciel, potrącając rękę Ludwika. Pistolet wypalił, lecz strzał padł bokiem i lekko tylko drasnął Ludwika.

„O, dla czegożeś mię ocalił!” zawołał Ludwik w rozpaczy. — „Jam to jest strachem, którego widok Leonidę życia pozbawił — jamto jéj mordercą!”

To rzekłszy pobiegł wpółobłąkany do zamku i minąwszy tłum gości, którzy się na widok jego krwią zbroczonéj sukni, ze zgrozą przed nim rozstępowali, rzucił się na kolana u łoża swojéj małżonki. Przywrócono ją wprawdzie do życia, lecz leżała jeszcze ciągle bez przytomności.

„Otoż i śmierć!” wskrzyknęła przerażona widokiem Ludwika. »Nie mówiłamże wam, iż ona po mnie przyjdzie! Ach, weźcie ją, weźcie odemnie! Nie chcę jeszcze umierać!”

Wyprowadzono Ludwika z przed oczu nieszczęśliwéj Leonidy. Wszakże i on sam swojém cierpieniem pobudzał wszystkich do litości. W niewymownéj rozpaczy wzywał głośno śmierci, na którą, jak mniemał, przez swoje nieszczęsne przebranie się na balu, słusznie zasłużył.

Wkońcu powiodło się jego przyjaciołom, cokolwiek go uspokoić; zrzucił swe krwawe suknie i poszedł znowu do Leonidy. Była ona jeszcze w ciągłém niebezpieczeństwie życia. Po pierwszém wstrząśnieniu nastąpiła gwałtowna gorączka, słyszano ją ustawicznie imię Najświętszéj Panny z Fourvières wzywającą i modlącą się aby jéj przebaczyła.

Następnego poranku kazał hrabia Saconnex starą wróżkę, któréj tajemnicze słowa na balu wraz z nierozmyślném przebraniem Ludwika, całe to nieszczęście Leonidy sprawiły, przyprowadzić przed łoże choréj małżonki Ludwika. Tamto groźby i przyrzeczenia hrabiego wykryły nakoniec całą tajemnicę.

Okazało się, iż owa wróżka z lasu de la belle Allemande pod Fourvières, była córką barona Solignac, którego historyję powyżéj przytoczyliśmy. Znała ona dobrze rodzinę hrabiego Saconnex, chociaż nawzajem znaną nie była; a zmuszona ostatnią nędzą, chwyciła się rzemiosła wróżki, którego niegdyś, jak opowiedziano, własnym nauczyła się kosztem. W dzień Wniebowzięcia Najświętszéj Panny spotkała margrabiego i jego synowicę na nabożeństwie w Fourvières. Ztądto jéj przemówki do nich, gdy burzą zagnani do jéj chaty się schronili. Wiedziała ona zdawna, iż margrabia na nieuleczone suchoty choruje, a rozdrażniona jego naleganiem, aby mu kładła kabałę, wywróżyła mu, iż w przeciągu roku umrze. Obawa skutku téj przepowiedni wtrąciła rzeczywiście chorego w dniu wyznaczonym do grobu — a tak, bez czarodziejstwa, spełniła się wróżba kabaliściny.

To wyznanie przyspieszyło o wiele wyzdrowienie panny de Saconnex, atoli długo jeszcze była ona tak cierpiącą, iż nie mogła odjechać z swoim małżonkiem, a nawet gdy to już nastąpiło, pozostało jéj na całe życie nieuleczone osłabienie.

Żebracy żydowscy.

U żadnego narodu nie posuwa się miłosierdzie dla żebraków tak daleko jak u Żydów. Ztądteż żydowscy żebracy, czyli tak zwani „sznorer,” stanowią osobną, dość liczną klasę ludzi, odznaczającą się zarazem dowcipem, bezczelnością, humorem, obłudą, i chytrością — słowem wszystkiémi przymiotami, jakiémi natura proszącego w obec dawcy zazwyczaj wyposaża. Niepodobną prawie jest rzeczą, oznaczyć dokładnie ojczyznę tych wędrujących „sznorer.” Wychodzą oni tysiącami ze wszystkich krajów, mianowicie zaś z Węgier i Galicyi, a dążą po większéj części do Morawii i Czech, będących niejako ulubioném miejscem schadzki wszystkich „sznorer” z całéj monarchii austryjackiéj i przyległych okolic.

Kto tylko powołanie na „sznorera” w sobie czuje, bierze u swojéj miejscowéj zwierzchności urzędowo zatwierdzony poszport, i udaje się na wędrówkę żebracką. Żona i dzieci zostają pod opieką dobrych przyjaciół, lub idą razem w drogę, bez względu na trudy ciągłéj podróży, na wątłe zdrowie niemowląt, a nawet na ich kalectwo, które owszem im bardziéj w oczy uderza, tém więcéj praw do miłosierdzia ludzkiego „sznorerowi” nadaje. Z całym swoim dostatkiem w jednym małym węzełku na plecach, jedną ręką dziecko prowadząc, w drugim ręku kostur wędrowny trzymając, postępuje mąż przodem, podczas gdy żona o kilka kroków z tyłu za nim się wlecze, niosąc maleńkie dziecię przy piersiach, lub ciągnąc za sobą wózek, w którym, śród brudnych betów, nędzne spoczywa stworzenie. Taka nowożytno patryjarchalna rodzina posiada często przy rozpoczęciu swojéj wędrówki zaledwie tyle w całym majątku, aby mieć z czego lichy nocleg w najbliższéj gospodzie zapłacić; wszakże odwaga i zaufanie w Boga i w ludzi, prowadzą ją w wędrówce, a piérwsza lepsza gmina, dostarcza jéj żywności i wszelkich wygód.

Tryb życia wędrownego „sznorera” bywa bardzo pojedyńczy. Przez cały tydzień żebrze on po mniejszych gminach i karczmach; jednak z końcem tygodnia stara on się zdążyć do jakiéj znaczniejszéj gminy, w pośrod któréj mógłby należycie szabas przepędzić. Dostawszy się do takiego pożądanego miasta lub też miasteczka, udaje się „sznorer” natychmiast do tak zwanéj »łożnicy,” czyli umyślnie dla tych wędrowców utrzymywanéj gospody, gdzie wykazawszy

się paszportem i innémi papiérami jako istotny „sznorer,” i pięknem, wschodniém pozdrowieniem „*Salem alekem*” (Pokój z tobą!) powitany, za kilka groszy wygodny nocleg znajduje. Nazajutrz rano, złożywszy węzełek w gospodzie, idzie do płatnika gminy po asygnacyję na „strawę szabasową”. W każdéj bowiem znaczniejszéj gminie istnieje zwyczaj, iż wszystkie podatkujące rodziny do pewnéj liczby szabasów się obowiązują, to jest, powinność goszczenia przez szabas pewnéj liczby „sznorerów” na siebie biorą. Na ten koniec pisze każdy gospodarz swoje imię na tylu kartkach, ile »sznorerów» u siebie chce podejmować, a jedna z takich kartek, wyciągnięta losem przez obcego wędrówcę, służy mu za istotną asygnacyję nie tylko na pożywienie u wybranéj losem rodziny, lecz owszem na jaknajszczérsze u niéj przyjęcie, na jéj przyjaźń i miłość. Jakoż przyjęty w ten sposób przychodzień uważa się w domu, do którego z ową asygnacyją przychodzi, nie za żebraka lecz za „gościa”, którego natychmiast na wieczerzę, jako najznamienitszą część żydowskiéj gościny, zapraszają Nim ta wieczerza nastąpi, wraca „sznorer” nazad do swéj gospody, gdzie się tymczasem wielu nowych przybyszów nagromadziło, i rozmawiając z nimi o ich ojczyźnie, stosunkach rodzinnych i przygodach, czyści sobie suknie, brodę, trzewiki, aby ile możności schludnie w bożnicy i w gościnę wystąpić. Zaczém idzie „sznorer” do synagogi na nabożeństwo, i zajmuje tam jedno z miejsc niższych, najczęściéj u samegoż wnijścia. Podczas nabożeństwa zachowuje się on jak najprzykładniéj, trzęsie nieustannie w znak pobożności głową, bije na wszystkie strony pokłony, i odmawia głośno modlitwy, aby go wszyscy widzieli i słyszeli. Po skończonem nabożeństwie zostaje z pokorą u progu bożnicy, i czeka aż wszyscy wyjdą. Wtedyto każdy z przechodzących Izraelitów podaje obcemu żebrakowi dłoń bratnią i wita go najpiękniejszém ze wszystkich powitaniem: „*Salem alekem.*” Nawet najmajętniejszy z gminy nie wzbrania mu tego braterskiego pozdrowienia, lubo wié że to żebrak, żyjący z miłosierdzia ludzkiego.

Teraz dopiéro udaje się »sznorer» do wybranego sobie domu w gościnę. Już tam czeka stół nakryty, potrawy szabasowe wonią korzeńmi z kuchni, jarzące wokoło świece rozjaśniają tajemniczo łagodném światłem świątecznie uprzątnioną komnatę. Jakże tam miło musi być biednemu »sznorerowi!” Wystawiony przez cały tydzień na słoty, niepogody i wszelkie trudy pieszéj wędrówki, zasiada wreście w ciepłéj, wykadzonéj świetlicy, za suto zastawionym stołem, pośród uprzejméj rodziny, wywiadującéj się troskliwie o jego ojczyznę, pochodzenie, żonę i dzieci. Odpowiedzi na te zapytania bywają niekiedy raczéj z fantazyi wędrowcy niźli z rzeczywistości brane; lecz to nie przynosi nikomu krzywdy, a służy wybornie do rozweselenia gościnnego gospodarstwa różnémi zmyślonémi przygodami. Nieraz mieszają się do tych fantastycznych opowiadań rozmaite żarty, dowcipy, fraszki, przezco obecność takiego wędrownego „gościa” zamienia całą wieczerzę w wesołą, rubaszną krotochwilę. Zatoż na wychodném, zaopatruje gospodyni domu »sznorera» hojnym ładunkiem pozostałków wieczerzy, któremi nieraz kilka dni się pożywia.

Wtenże sam sposób upływa jutrzejszy dzień szabasowy. Również jak wczorajszego wieczora, udaje się »sznorer» do synagogi i modli się tam z większą jeszcze niż wczoraj gorliwością. Przy tém szabasowém nabożeństwie wydarza się niekiedy osobliwsza scena. Wiadomo jest, iż gdy pokolenia Izraelu po wszystkich końcach świata rozprószone zostały, jedno pokolenie kapłanów czyli Lewitów w całości zachować się miało. Aż po dziś dzień noszą ci Lewici, słusznie czy niesłusznie, swe dawne miano, i używają niektórych, chociaż nie zbyt ważnych przywilejów. I tak naprzykład, przy odczytaniu przykazania, wywoływany bywa najprzód kapłan, następnie Lewita, a dopiéro po nich cały gmin Izraelu. Owoż zdarzy się czasem, iż w jakiéj pomniejszéj gminie żadnego nie masz kapłana. Natenczas występuje nasz „sznorer” i odpowiada w miejsce kapłana piérwszy na wywołanie. Przy téjże saméj ceremonii odczytuje się z ksiąg Mojżeszowych rozdział, w którym prorok śród zagrożenia najokropniejszych kar, klęsk i nieszczęść, upadek ludu Izraelskiego przepowiada, gdyby on kiedy zakonowi bożemu miał się sprzeniewierzyć. Z przesądu więc czyli zabobonu nie chce nikt do odczytania tego rozdziału być wezwanym, lękając się, aby się na nim część tych gróźb nie sprawdziła. W takim razie bierze »sznorer» całą odpowiedzialność na siebie, i zwraca na swoję głowę całę masę przekleństw i nieszczęść, w jakie ów rozdział opływa. Widzimy tedy, iż nasz żebrak, pomimo swego niestałego żywota, pewien stopień w społeczeństwie zajmuje. Oprócz tego bywały te „sznorery” przed laty podobnymi jak owi błędni średniowiekowi minstrele i *jongleurs* śpiewakami i kuglarzami, stanowiącymi odrębne, właściwe sobie rzemiosło, lecz z czasem chwycili się wszyscy żebracy tego rzemiosła, a przeto straciło ono swoje dawne mistrzowstwo i zamieniło się w dzisiejszy sposób życia „sznorerów.”

Nazajutrz po szabasie wybiéra się „sznorer” w dalszą drogę. Wprzódy jednak obchodzi wszystkie domy gminne z pożegnaniem, i zagarta przytém obfity plon jałmużny. Niekiedy nie zadowalnia się on nawet ladajakim datkiem, rzuca go ze wzgardą dawczyni w oczy, i nie ustąpi się dopóty, aż go hojniejszym upominkiem nie udaruje.

Wszakże najchętniéj wstępuje nasz »sznorer» do domu czeskich »randarow» czyli naszych arendarzy. Ci randarowie są zazwyczaj wszelkiémi ziemskiémi dostatkami nadmiar uposażeni. Ich mieszkania mają niejakie podobieństwo do naszych klasztornych zakładów. Jak u cichej fórty klasztoru ubodzy zdawiendawna jałmużnę i pożywienie mieli, tak też i w domu tych »randarów» miéwa każdy wędrowny »sznorer» przytułek i kilkudniową gościnę. Za pomocą kilku dowcipnych dykteryjek i żartow umie sobie »sznorer» tak dalece rubasznego randara ująć, iż tam u niego najpiękniejsze dnie swojéj żebrackiéj wędrówki spędza.

Tak różnobarwne kształty przybiéra żywot żydowskiego żebraka. Na zakończenie należy dodać, iż nawet pomiędzy tymi żebrakami pewna arystokracyja panuje. Składa się ona z ubogich wędrownych bakałarzy i uczonych. Ponieważ atoli w niejakiéj wątpliwości jesteśmy, czy tych uczonych słusznie do klasy »sznorerów» policzyć można, przeto na później ich opis odkładamy.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 9ty i zawiéra: 1) Wspomnienie o zjeździe królewskiego towarzystwa rolniczego angielskiego, odbytym w lipcu zeszłego roku. 2) O krowach i sposobie ich żywienia. 3) Uwagi nad artykułem umieszczonym w nrze 3cim pod napisem: Co może u nas podnieść chów bydła? 4) O sadzeniu modrzewiów; podług pana Latourne'r. 5) Lekarstwo na zołzy. 6) O krwiściągu łąkowym (*poterium sanguisorba*, *Pimpinelle*.) 7) Przepisy na zupę rumfortską. 8) Wiadomości handlowe.

Przedstawienia teatralne środkiem przeciw obłąkaniu. Pewien przy zakładzie obłąkanych w Neapolu umieszczony lekarz, uczynił niedawnémi czasy próbę; przekonującą, iż wrażenie teatralne pomyślnie na umysł obłąkanych działać może. W tym celu umówił się był z dyrektorem pewnego teatru o wybór sztuki, i udał się z kilką ze swoich pacyjentów na przedstawienie. Za pomocą osobnych drukowanych kartek, które pomiędzy publiczność rozrzucone zostały, proszono obecnych, aby żadną głośną oznaką pochwały lub nagany, uwagi znajdujących się w kilku lożach obłąkańców nie rozrywano. Orkiestra odegrała piękną uwerturę, a po odsłonieniu kortyny, aktorowie, zawiadomieni o celu przedstawienia, wszelkich sił dokładali, aby jaknajskuteczniejszy wpływ wywrzéć, i mianowicie komiczną stronę sztuki wydatnie oddać. Obecni lekarze uważali pilnie wrażenie, jakie scena na obłąkanych sprawi. Przedstawiano w pstréj rozmaitości operę, dramę, komedyję i balet. Osiągnięty tém skutek, był jaknajpomyślniejszy. Przedstawienie teatralne roztargnęło chorowite wyobrażenia obłąkanych, i na inne przedmioty je skierowało. Jednemu widok scen krotochwilnych jego posępną monomaniję rozweselił, u drugiego poważna drama błędną powściągnęła fantazyję; a muzyka, świetność dekoracyj i kostiumów, jakoteż gra artystów, wszystkich mocno wzruszyły. Lekarze postanowili używać dalej tego środka dla swoich chorych, a oczekiwane o tém doniesienia będą bez wątpienia niejednę ciekawą wiadomość zawierały.

Nowe akustyczne telegrafy. Francuzki inżynijer Sudre wynalazł telegrafiję za pomocą odgłosu sprawionego strzałami działowémi. Uczyniono już bardzo pomyślną próbę w Vincennes, pod Paryżem, w obecności księcia Montpensier, jenerała Gourgaud i innych oficerów sztabowych. Oddano panu Sudre ośm dział do rozporządzenia. W dość znacznéj odległości stał uczeń inżynijera i odbierał rozkazy od księcia Montpensier, które daléj podać miano. Pomiędzy innémi zadyktował książę Montpensier: »Ściągnąć tyralijerów!— Nieprzyjaciel zmienia pozycyję.— Jak długo możemy się w naszém obecném stanowisku utrzymać? — Nadesłać kompaniję woltyżerów! — Ruszyć do głównej kwatery!» — Wszystkie te rozkazy były w mgnieniu oka za pomocą dział daléj udzielone i jaknajdokładniéj zrozumiane. Wszyscy obecni jenerałowie oświadczyli się wielce zadowolonymi.

Dziwny przykład magnetycznéj władzy wzroku Napoleona. W wychodzącéj obecnie »Historyi niewoli na wyspie św. Heleny» opowiada hrabia Montholon, iż gdy Napoleonowi w r. 1815, u wybrzeży angielskich, na pokładzie okrętu Bellerophon, stanowcze postanowienie ministeryjum angielskiego o wywiezieniu go na wyspę św Heleny oznajmiono, admirał lord Leith, po długiéj rozmowie z cesarzem, stosownie do otrzymanego zlecenia, przystąpił doń i rzekł: »Anglija żąda Jego szpady.« — Napoleon chwycił konwulsyjnym ruchem za szpadę, któréj Anglik żądać od niego się poważył, i tylko okropny wzrok jego oka był mu jedyną odpowiedzią — lecz nigdy to oko okropniejszym nie błysło wzrokiem. Stary admirał został niém zupełnie porażony; wysoka postać jego skłoniła się ku ziemi, a jego siwa głowa spadła na piersi jak winowajcy, któremu wyrok śmierci czytają. Cesarz zatrzymał szpadę. Admirał pokłonił się głęboko, wyszedł, i żadne słowo nie popsuło uroczystego wrażenia, jakie ta scena na wszystkich obecnych, czyto Francuzach, czy Anglikach, uczyniła.

Tajemnicza kasa oszczędności. Augsburska »Gazeta powszechna» opowiada następujące osobliwsze zdarzenie: Za czasów cesarstwa francuzkiego zmarł w Hiszpanii lub w Niemczech właściciel pewnéj dotacyi, zamienionéj w roczny dochód 180.000 franków, zapisanéj na jednego z wyższych oficerów francuzkich, i zaopatrzonéj należytą matrykułą, jakoteż numerem wciągnienia tegoż funduszu w wielką księgę. Cóż się odtąd z tym znacznym dochodem stało? Takie pytanie zadaje sobie po przeszło trzydziestu latach spadkobierca pierwotnego właściciela dotacyi, a szczęśliwy przypadek posłużył mu do odkrycia jego skarbu. Najprzód udaje on się z zapytaniem o tę dotacyję do ministerstwa finansów, lecz nikt go słuchać nie chce. Idzie więc do archiwów i szuka tam dotyczących dokumentów. Wreszcie po nieskończoném szperaniu znajduje tam nietylko matrykułę, to jest dyplom fundacyi, lecz także rozporządzenie wciągnienia jéj do wielkiéj księgi. Atoli historyja odkrycia tych dokumentów równa się najbajeczniejszemu romansowi. Złote jabłka Hesperydów nie mogły być tajemniéj strzeżone, niż te papiérowe arkana. W pierwszéj sali archiwu — jakby w jakim zaczarowanym przybytku — siedzi za grubą nieprzejrzystą przegrodą archiwista, którego widzieć nie można, i który sam zapytujących osób wcale nie widzi. Do środka jego pracowni wstępuje się tylko za osobném dozwoleniem ministra. Oprócz tego jest wspomniony tu urzędnik tak głuchy, iż musi rogu akustycznego używać, i zawsze tylko tyle dosłyszy, na

ile właśnie chce odpowiedzieć. Nakoniec odprawia on proszących zazwyczaj do samegoż ministra, a ten odsyła ich do swego najtajniejszego zachowawcy dokumentów, będącego jeszcze doskonalszym od archiwisty w swoim zawodzie, gdyż jest zupełnie głuchoniemym. Mówić z nim nikt nie umié, prócz jego własnego przełożonego, który stosownie do ministeryjalnego zlecenia, granicę jego wiedzy i możności odszukania żądanych dokumentów mu zakreśla. — Bądź jak bądź, nasz spadkobierca utrzymuje, iż doszedł wreszcie potrzebnych mu papierów i udaje się więc z dobitnem oświadczeniem do ministra. Minister przyzwala nakoniec, iż podobna dotacyja niegdyś istniała, lecz prawo do niéj przeszło na kogo innego. Na kogoż? Jakim sposobem? Gdzie jest dokument téj cessyi? — Otoż pytania, o których rozwiązanie właśnie w téj chwili sprawa się toczy. Jak sobie łatwo wystawić można, przyrzéka ta sprawa wiele ciekawych odkryć. Mianowicie miały się w téjże soméj *camera obscura* znaleźć dokumenta dawno wygasłych dożywociów, wynoszących rocznie 35 milijonów, to jest, licząc po 5 od sta, 700 milijonów kapitału, którego prawni właściciele znikli, poumiérali i t. d., a którego procenta mimo to dotąd ze skarbu — lecz komuż?! — wypłacane bywały. 700 milijonów, to piękny kapitalik! Możnaby nim niejednę rzecz rozpocząć! I dla tegoż tak troskliwie dotychczas go chowano. Prawdopodobnie wszcznie się w izbie deputowanych mowa o téj skarbonce. I tę-to sumę nazywano dotąd niepozorném mianem »*dotation du 5 procent*« któréj prawni właściciele wymarli.

Odbyt rużu przed 50—60 laty był tak znaczny, iż w r. 1781, w Paryżu niejaki pan d'Elbeé opłatę od tego towaru na fundusz pensyjonowania ubogich wdów oficerskich chciał obrócić. Obliczył on, iż rok w rok 2 milijony słoików rużu we Francyi spotrzebowane bywają, i zalecił francuzkiemu rządowi ogłosić wyrabianie rużu za monopol rządowy, wydzierżawić ten monopol jakiemu towarzystwu pod warunkiem, aby od każdego słoika 25 *sous* rządowi opłacano, coby na rok summę 124.000 talarów wyniosło. Ztąd się okazuje najjawniéj, jak dalece zwyczaj rużowania się był w wyższych stanach upowszechniony. Ztémwszystkiém nie przyjął rząd francuzki wniosku pana d'Elbeé.

Dziewczęta i gołębie w Wenecyi. Oddawna istniał w Wenecyi dziwny zwyczaj, iż wszystkie w jednym roku zaręczone pary corocznie w jednym i tymże samym kościele razem ślub brały. Przeznaczonym do tego dniem było święto Oczyszczenia Najświętszéj Panny, któregoto dnia wszystkie panny młode, niosąc swoje posagi w złocie i w srebrach na mniejszych lub większych tacach w ręku, szły wraz z narzeczonymi i całą rodziną do kościoła. Po uroczystém nabożeństwie i budującém kazaniu o powinnościach stanu małżeńskiego odbywał się obrzęd ślubny, a potém następowały spólne zabawy weselne, w których całe miasto uczestniczyło. Późniéj, gdy Wenecyja w wielkość i potęgę urosła, a ta centralizacyja obrzędów ślubnych dłużéj trwać już nie mogła, zachowano przynajmniej pamiątkę tego dawnego zwyczaju, obchodzoną w kształcie wielkiéj uroczystości ślubnéj. 12 uczciwych ubogich dziewcząt otrzymywało tego dnia posag ze skarbu rzeczypospolitéj i brało ślub z również ubogimi młodzieńcami. Przytém stroiły się obie strony w suknie i klejnoty rządowe, które wieczorem nazad do skarbu odnoszono. — Inny dawny zwyczaj zachował się aż po dziśdzień. Za uderzeniem drugiéj godziny z południa, zlatują się zewsząd na placu św. Marka roje gołębi i czekają tam w gwarnéj, ruchoméj kupie, aż im zwykłéj karmi nie rzucą. Wszakże w jakim celu tyle gołębi żywić? O tém różne krążą podania. Aż do rozwiązania rzeczypospolitéj Weneckiéj hodowano wszystkie gołębie kosztem publicznym. Późniéj zrobiono wprawdzie z wydawanych na to pieniędzy inny użytek, atoli wkrótce znalazła się jakaś stara, bogata dama, która znaczną sumę gołębiom w testamencie zapisała i na zawsze hojne, z procentów téj sumy opędzane utrzymanie im zapewniła.

Jęczące drzewo. Dzienniki niemieckie opowiadają w bardzo tajemniczy sposób historyję pewnego drzewa w Anglii, w Badesly, o dwie mile od Limington. Przed mniéj więcéj cztérdziestą laty usłyszał jeden z tamecznych mieszkańców jakiś dziwny głos poza domem, właśnie jakby ktoś jęczał. Tożsamo uważała także i jego żona, którą to jęczenie w czasie słabości nadzwyczajnie raziło. Niebawem posłyszeli to i sąsiedzi, zaczęto różnie o tém mówić, aż wreszcie, szukając dokładnie miejsca zkąd się ten głos wydobywał, przekonano się, iż on wychodził zpod młodego, zupełnie zdrowego jasionu w głębi ogrodu. Nie minęło kilka tygodni a już wieść o jęczącém drzewie gruchnęła po całéj okolicy, zewsząd zbiegali się ciekawi, widzieć i słyszeć to dziwowisko, i samo nawet księstwo Wales, bawiące podówczas w poblizkiéj willi nadmorskiéj, przybyli do Badesly dla oglądania jasionu. Wszakże łatwiéj było go widzieć, niż sobie przyczynę tych dziwnych głosów wyjaśnić. Zabobon gminu wkrótce sobie cały dziw po swojemu wytłómaczył, lecz naturaliści nie mogli żadnym sposobem tego dociec. Jedni utrzymywali, iż to jęczenie od tarcia się zaplątanych korzeni — inni że ono od uzbieranéj w pniu wody, lub też zamkniętego tam powietrza pochodzi, a tymczasem drzewo jęczéć nieprzestawało. Jakby dla zaostrzenia ciekawości coraz liczniejszych widzów, bywały pory, gdzie te jęki na jakiś czas zamilkały. Późniéj jednak odzywały się znowu, i zrobiono tylko uwagę, iż drzewo przy wilgotém powietrzu mniéj, przy pogodzie zaś i w mrozy bardziéj jęczało. Tak miała się rzecz przez dwa lata, i nawet książkę o tém wydano. Nakoniec znudziło to właściciela, wziął duży świder, wywiercił dziurę w pniu, a drzewo odtąd umilkło na zawsze. Późniéj wydarto je z korzeniem, ale nic nie odkryto, coby tę tajemnicę wyświecić mogło.

Ludzkość cesarza chińskiego. W ostatnich doniesieniach z Chin znajduje się także wiadomość, iż cesarz Chiński oświadczył, że odtąd żadnego winowajcy śmiercią karać nie będzie. Podług praw chińskich, musi cesarz każdego razu przed podpisaniem wyroku śmierci, przez trzy dni pościć. Zachodzi więc pytanie, czy owo ludzkie postanowienie »brata słońca« z jego serca czy żołądka wynikło?

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.